

Zatrzaszkiwanie

AUTOR: HENRYK MAZURKIEWICZ

Wrocławska Pantomima w brawurowym stylu zatrzaskuje wieko trumny nad reżyserem tyranem, żywym trupem współczesnej kultury.

■ W najnowszym spektaklu Wrocławskiego Teatru Pantomimy najbardziej fascynuje mnie to, jak zrozumiały i łatwy jest do odszyfrowania w niektórych swych wymiarach, a zarazem tajemniczy i nieodgadniony w innych. Wydaje mi się więc, że wiem „o czym” jest *Tyran* w reżyserii Jakuba Lewandowskiego. Mógłbym nawet wyłuskać te znaczenia i nakreślić je w kilku niezbyt zawiłych zdaniach. Ale gdy tylko zaczynam je układać, natychmiast ogarniają mnie liczne wątpliwości. Umysł i wyobrażenia podrzucają coraz to nowe tropy interpretacyjne, kolejne sposoby odczytania. Zresztą, takim właśnie ma być dzieło teatralne, którego tworzywem nie jest słowo, tylko ruch, wyraziste obrazy plastyczne, przemyślana fonosfera i odpowiednia dramaturgia światła.

O tej ostatniej warto wspomnieć osobno. Przed premierą nie wiedziałem zbyt wiele o przedstawieniu. Przede wszystkim to, że zainspirowane zostało kultowym dziełem niemieckiego ekspresjonizmu, świętującym w tym roku setną rocznicę premiery filmem *Nosferatu – symfonia grozy* Friedricha Wilhelma Murnaua. Drugą rzeczą był „przeciek” z próby generalnej, kolportowany w tłumie widzów oczekujących przy Centrum Sztuk Performatywnych – w ostatnich latach regularnym miejscu prezentacji nieposiadającego własnej sceny Teatru Pantomimy. Od niejednej osoby usłyszałem, że „spektakl jest bardzo ciemny”. I to w jak najbardziej dosłownym tego słowa znaczeniu. Ogromna postindustrialna przestrzeń według zamysłu twórców miała być pogrążona w egipskich niemalże ciemnościach. Zdjął mnie nawet strach, jak każdego okularnika, że niewiele będę w stanie zobaczyć.

Obawiałem się na próżno, chociaż później dowiedziałem się, że ostatecznie postanowiono jednak przedstawienie nieco doświetlić. Słuszna decyzja. Odpowiedzialny za światła Paweł

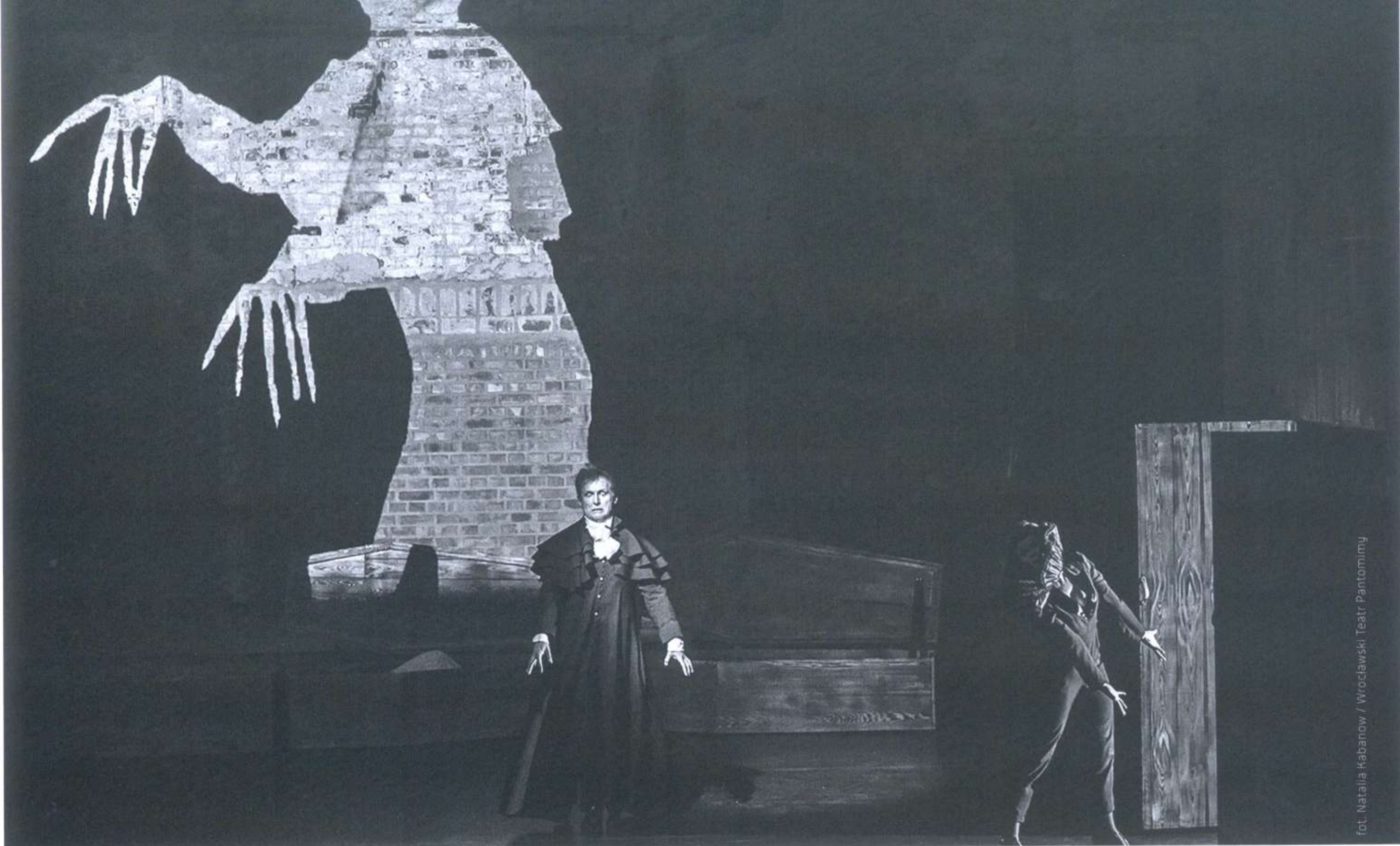
Murlik wykonał wspaniałą i bardzo precyzyjną pracę. Uzyskał płynną równowagę między widzialnym i niewidzialnym, której w ogromnym stopniu zawdzięczamy szczególną, oniryczną atmosferę spektaklu. Panujący półmrok odcina wzrok widza nie tylko od ceglanych ścian Piekarni, ale również od wszystkiego, co znajduje się poza scenicznym tu i teraz. Stąd wrażenie, że świat *Tyrana* wyłania się jakby z chaosu niebytu. Materializuje się (ale czy w pełni?) niczym wspomnienia czy sny bohaterów ze starych czarno-białych filmów. Podobnie jak dzieje się to z pierwszą postacią, którą zobaczymy na scenie. Wyłania się z umieszczonego w samym jej rogu mrocznego kopca. Ubrana jest na czarno. Bardzo staroświecko. Czyżby wybierała się na czyjś pogrzeb (ale czyj?), albo przed chwilą wróciła z cmentarza?

Podobnych pytań i wątpliwości, z których większość nie zostanie rozwiana, będzie w trakcie przedstawienia jedynie przybywać. Bo kim właściwie jest ta, którą gra Anna Nabiłkowska? Albo nawet czym? Może tylko zjawą, widmem, mirażem. Czy na odwrót – wszyscy pozostali są zaledwie cieniami, nawiedzającymi ją lub przez nią przywoływanymi wspomnieniami, które postanowiła wygrzebać z pamięci. Na plakacie do *Tyrana* widzimy Nabiłkowską z łopatą w ręku na tle jakiejś złowieszczej odkrywki. Stanowi część świata przedstawionego, a jednocześnie cały niemalże czas przebywa na jego obrzeżach i przygląda się mu jako widzka. Teraz zaś podchodzi bliżej widowni. Staje w kręgu światła. Dostrzega publiczność i próbuje jej coś zakomunikować. Wykonuje dość skomplikowaną sekwencję gestów, coś pomiędzy pantomimą a językiem migowym. Przyglądam się uważnie, żeby wyłapać jakieś znane mi symbole, rozgryźć wewnętrzną logikę następujących po sobie znaków. Nic z tego. Nie mam pojęcia,

o co jej chodzi. Aktorka równie dotkliwie odczuwa to, że nie potrafi nawiązać z nami nici porozumienia. W jej oczach czytamy pogubienie i niedowierzanie. Powtarza więc swoją choreografię od nowa. Dokładnie i precyzyjnie. Znowu i znowu. Bez skutku.

Byłby to więc dramat o trudności, czy wręcz niemożliwości autentycznego kontaktu? Braku odpowiedniego języka? O tym – trywializując – że każdy, niczym Leibnizowska monada, jest szczelnie zamknięty w swoim własnym miniversum? W spektaklu trop ten (jak wspomniałem – jeden z licznych) jest przewrotnie zobrazowany. Głównym elementem scenograficznym *Tyrana* jest bowiem sklecona z niewypolerowanych desek trumna, a dokładniej – z pół tuzina identycznych skrzyń. Takich rodem z pierwszych filmów o wampirach albo z półek z akcesoriami do należytego świętowania Halloween. Popychane przez aktorki i aktorów, dzięki zamieszczonym na dole kółkom, wjeżdżają na scenę z charakterystycznym, komiczno-groteskowym skrzypieniem. Widzimy ich swoistą rewię. A nawet więcej, bo następuje coś na kształt grupowej prezentacji. Połączenie nekroperformansu z kreatywnym wigorem spotu reklamowego dla zakładu pogrzebowego. „Mieszkańcy” tych „ostatnich” nieruchomości na wszelkie sposoby, w synchronicznym uniesieniu i z uśmiechami na twarzy, całymi sobą zaświadczaają, że pasują do nich jak ulał.

„Zapukamy” do każdej z tych trumien. Większość z bohaterów i bohaterek będzie miała swoje własne, utrzymane w poetyce intymnej spowiedzi, solo, podczas którego opowie, czyli wytańczy, przełoży na ruch, wysublimuje w geście i mimice to, co dręczy najbardziej. To nie tyle pantomima, co teatr tańca. A raczej udana hybryda tych dwóch sztuk. Jakub Lewandowski przyjechał do



fot. Natalia Habanow / Wrocławski Teatr Pantomimy

Tyran, reż. Jakub Lewandowski, Wrocławski Teatr Pantomimy (2022)

Wrocławia z Bytomia i stąd też, z lokalnej filii Akademii Sztuk Teatralnych, zaprosił do współpracy dwóch grających gościnnie młodych tancerzy – Wojciecha Furmana i Jakuba Pewińskiego. Obaj o niewątpliwym talencie aktorskim, świetnym warsztacie i mocnej obecności performerskiej. Promieniujący energią Pewiński, w długiej białej koszuli nocnej i z doczepionym brzuchem, stanowi kwintesencję romantycznych wyobrażeń o artyście „ciężarnym” przyszłym dziełem. Natomiast walczący z własnym ciałem – jakby wykonywaną choreografią zamierzał siebie ukarać, „wytortuować” coś z siebie – Wojciech Furman reprezentuje starannie dławioną, rozdzierającą od środka psychomachnię. Równie dobrze wypadł zespół Pantomimy. Niesamowitą plastycznością ciała zadziwia Agnieszka Dziewa. Wygięta w łuk i krocząc niczym pajak, stawiała się przerażającym fantazmatem osoby-stwora przyzwyczajonego do widoku świata na opak.

Jest w *Tyraniu* spory ładunek melancholii i dramatyzmu, zimnej ponurości, którego to klimatu dopełniają stylizowane na epokę wiktoriańską kostiumy Lidii Kanclerz i muzyka Patrycji Hefczyńskiej. Ale spektakl ten potrafi też być lekki, zabawny i autoironiczny. Umyślnie zbliża się do karykatury czy pastiszu, żeby chwilowo nas rozbroić i tym celniej uderzyć gdzie indziej. Tak, żeby śmiech uwiązał nam w gardle. Dochodzi do tego w jednej z kluczowych scen, kiedy odtwarzana jest

słynna sekwencja z *Nosferatu*, której projekcję oglądamy przed spektaklem we foyer. Wampir przychodzi w niej po swoją ofiarę, młodą i piękną Ellen Hutter. Pojawia się w oknie budynku naprzeciwko, jako zapowiedź czegoś nieuchronnego. Cień jego długich palców z obrzydliwymi pazurami wyrusza na polowanie. Po chwili znajdzie się w pokoju, który tak niefortunnie opuścił mąż Ellen... Spektakl podąża wiernie za Murnauem – uciekając od scenograficznej wierności, a oko kamery zamieniając na światło reflektora – do momentu, gdy zamiast wbić kły w szyję kobiety, krwio pijca Artura Borkowskiego zaczyna bezczelnie obmacywać piersi grającej ją Agnieszki Charkot. *Nosferatu*, zamiast popuścić własnemu pragnieniu w sensie ścisłym, popuszcza swej żądzy seksualnej. Zresztą, to pierwsze zawsze było znakiem zastępczym tego drugiego.

Charkot, ocknąwszy się z somnambulicznego transu, wymierza draniowi siarczysty policzek. Ale poza tym nie za wiele jest w stanie zdziałać. Podglądamy bowiem próbę teatralną, a grający wampira aktor jest zadufany w sobie, apodyktycznym reżyserem. Nie przejmuje się więc zbytnio tym wyrazem sprzeciwu. Nie wścieka się. Uczucia molestowanej aktorki wydają się w ogóle go nie obchodzić. Zajęty jest sobą. Obwąchuje swoje palce, i każe powtórzyć wszystko od nowa. W przyspieszonym tempie. I jeszcze raz, w tempie już niemal zawrotnym. Końcówka drugiego podejścia skończy się obrzydliwym oblizywa-

niem szyi i policzków podwładnej mu aktorki. Za trzecim razem postanowi pójść na całość i położyć się na niej...

Jak czytamy w notce do spektaklu, postać grana przez Borkowskiego jest „symbolem tyrana-reżysera, wysysającego z aktorów ich twórczą energię”. Tylko że z tym ostatnim, jak widać, ma niejaki problem. Wydaje się, że za dużo czasu spędził pod wiekiem swojej luksusowej, samoporuszającej się trumny. Stąd wygląda dość bezradnie i komicznie. (Nie) żyje dzięki ogólnej wierze innych w jego rzekomą wielkość i niezastąpioność. Dzięki tłumowi wiernych aktorów-wyznawców, darzących go bałwochwalczą niemalże czcią i dokarmiających go własną atencją, jakby nie potrafili sobie wyobrazić, że mogłoby być inaczej. Ale i ten czar, jak pokazuje finałowe taneczne zwierzenie Moniki Rosteckiej, już pryska. Aktorka, nie odnalazłszy się w przesadnym poddańczym entuzjazmie, znajduje wewnętrzną wolność. Ostatnim, co słyszymy w zapadającej ciemności, tym razem już kompletnej, jest łoskot zatraskujących się trumien. Tak umiera to, co dawno już było żywym trupem. ■

Wrocławski Teatr Pantomimy
im. Henryka Tomaszewskiego
Tyran

scenariusz, dramaturgia Justyna Tomska
reżyseria, choreografia
Jakub Lewandowski
premiera 24 kwietnia 2022